

Rozmowa Michała Górala z Adą i Samuelem Willenbergami, przeprowadzona w latach 2013-2015, niepublikowana

Czy życie Państwu smakuje?

Krystyna Willenberg: Smakuje.

Samuel Willenberg: Smakuje?! Jeżeli życie ma smakować jak dobre jedzenie - to tak. Zależy, kiedy.

KW: Nie jestem smakoszem, jem wszystko co jest jadalne... i tak samo w życiu, po prostu jestem urodzoną optymistką. Staram się wszystko to, co nieprzyjemne, odsunąć na bok, a raczej myśleć o tym, co jest przyjemne. Wołałabym być trochę młodszą, żebym miała więcej siły. Z wiekiem ono jest mniej smaczne [śmiech]. Ale z drugiej strony, jak myślę, że w moim wieku niejedna osoba już nie może tak korzystać, jak ja korzystam, to nawet z pewnymi ograniczeniami życie mi bardzo smakuje.

Czy ono nie jest jakieś podwójne? Mówię „Pani Krystyno”, gdy jednak wziąłem do rąk Pani bardzo ciekawe wspomnienia, jest tam napisane „Ada”.

KW: Tak, jest powód. Kiedy byłam na aryjskiej stronie, [w czasie II wojny światowej - przyp. M. Góral] nazywałam się Krystyna Malinowska. To nazwisko służyło mi jeszcze kilka miesięcy po wojnie, bo Żydzi bali się przyznawać do żydostwa. Do szkoły się zapisałam jako Kryśka, choć koleżanki wiedziały, że jestem Żydówką i nie miałam z tego powodu przykrości. Mój mąż do dzisiaj mnie tak nazywa, ale w Izraelu wnuki nazywają mnie po imieniu - „Ada”. Jestem tam częściowo Adą, a częściowo nie.

SW: Jestem dla wnuków „Igo”, ale to pseudonim z konspiracji i z powstania warszawskiego, nie mówią do mnie „dziadku”. Igo to zlepek moich imion- Samuel, Ignacy...

Ale czy to nie jest tak, że Państwo, po takich przejściach, przeżywają jeszcze intensywniej życie, niż przeciętni ludzie?

KW: Myślę, że my, po naszych przeżyciach, potrafimy jeszcze bardziej cieszyć się życiem, bo umiemy docenić to, że żyjemy.

Ja to widzę!

SW: Żyję dwoma życiami. Przeszłością okupacyjną. Moimi siostrami, moimi rodzicami. Nie ma dnia, żebym o nich nie myślał, czegoś nie powiedział. U mnie teraźniejszość i przeszłość są połączone. Kiedy przeszedłem na emeryturę zacząłem rzeźbić i malować. Moje prace są związane z przeżyciami obozowymi. Jedna z moich rzeźb przedstawia bardzo dramatyczną scenę z obozu, kiedy mężczyzna idący na śmierć ze swoim dzieckiem, sznuruje mu bucik! Inne prace przedstawiają kolegów, moich bliskich.

Kilka lat temu w Częstochowie, skąd pochodzę, zaprojektowałem pomnik na częstochowskim Umschlagplatzu, miejscu, skąd wywieziono do Treblinki około czterdzieści tysięcy Żydów.

To Pana nie pogrąża w smutku?

SW: Jak myślę o bliskich, to nieraz mam łzy w oczach.

Powiedział Pan, że żyje tymi osobami, które zginęły, a które Pan spotkał w Treblince, również swoimi bliskimi, których Pan stracił.

SW: Ja fotografuję oczami, widzę obraz - paletko mojej siostrzyczki, takie jak ono było, widzę piach, widzę kolegów moich na pryczy. Nie ruszają się – to jest zdjęcie

A czy w sferze pozafotograficznej, ma Pan poczucie, że ci, którzy odeszli są z Panem, nie tylko w myślach, że oni Pana prowadzą?

SW: Nigdy nie miałem zapędów do mistyki. Trzeba być mistykiem, ja nie byłem. Jestem realistą, ja ich widzę takich, jacy oni byli. Na przykład Artur, kolega, który mnie w Treblince uratował. Kiedy nas przywieziono do Treblinki następowała selekcja i większość szła na śmierć. Niemcy mówili ludziom, że idą do łaźni. Nagle zobaczyłem mojego kolegę z Częstochowy. Był więźniem w obozie i pracował przy selekcji. Krzyknął do Niemca nadzorującego selekcję: To jest murarz (Das ist die Maurer), a do mnie powiedział: mów, że jesteś murarzem, bo potrzebują takich ludzi do pracy! Ja oczywiście murarzem nie byłem, ale to uratowało mnie przed komorą gazową! Ja go widzę, widzę go ciągle. On padł od kuli po powstaniu w obozie. To są najbliżsi moi.

Takich zdarzeń w Pana życiu było niezwykle dużo.

SW: ... setki, jakby to był nieruchomy film. Kiedy musiałem uciekać z Częstochowy po aresztowaniu moich sióstr, poszedłem na dworzec. Tam Niemcy pośród podróżnych wypatrywali Żydów. Wszedłem do restauracji dworcowej, żeby coś zjeść. Właściciel, oprócz jedzenia podał mi szklanekę wódki. To była atrakcja dla klientów, bo alkohol był nielegalny, więc również dał mnie, choć wcale tego nie zamawiałem! Żydzi wódki nie pili, dlatego nie mogłem odmówić, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Nigdy wcześniej nie piłem, więc po takiej szklance wyszedłem pijany. Szedłem po peronie, zataczając się, i to okazało się gwarancją mojego bezpieczeństwa, ponieważ Żydzi nie chodzili pijani! Wsiadłem do pociągu, nie wzbudzając podejrzeń.

Opowiedział mi Pan, że jadąc tramwajem z rodziną, już współcześnie, kiedy byliście Państwo z wizytą w Warszawie, zobaczył Pan tabliczkę 'Marszałkowska 60' – kamienicę, w której Pana ojciec w czasie powstania warszawskiego namalował Chrystusa Miłosiernego. Od razu chciał Pan tam pójść?

SW: Rodzina powiedziała, że ja fantazjuję, „Czy Ty myślisz, że to ocalało?” - mówili. Okazało się jednak, że to wszystko jest – przetrwało. [do Krystyny] Pamiętasz?! Mój ojciec był artystą malarzem. Przed wojną w Częstochowie to nawet chrześcijanie przychodzili podziwiać malowidła, które mój ojciec wykonał w synagodze. On nie miał typowo żydowskiego wyglądu. Zdradzał go tylko akcent, więc żeby uratować się w czasie wojny, postanowił udawać niemowę, ale takiego, który słyszy, więc mógł porozumiewać się z klientami, pisząc na kartce i słysząc odpowiedzi. Zaczął malować na zamówienie katolickie obrazy religijne. To odwracało uwagę od tego, że może być Żydem. W czasie Powstania Warszawskiego ukrywał się w tej kamienicy przy ulicy Marszałkowskiej 60. Nigdy nie chciał w czasie nalotów chronić się w piwnicy, ale pewnego dnia w kamienicę uderzyła tzw. krowa - potężna bomba z własnym napędem. Wtedy zdecydował się zejść i schodząc, namalował na suficie twarz Chrystusa. Potem już nigdy bomba nie uderzyła w kamienicę, nie została też spalona po powstaniu ani rozebrana przy budowie MDM-u! Ludzie uznali, że dzięki temu wizerunkowi ich dom był pod specjalną opieką i ocalał.

Czy nazwałby Pan czystym przypadkiem to, że Pan trafił w tamto miejsce po tylu latach i odnalazł ten wizerunek?!

SW: To był przypadek, bo ja o tym miejscu nie myślałem. Poszedłem i znalazłem. Akurat ten dom ocalał.

A może to ojciec przyprowadził Pana w to miejsce?

SW: Nie.

A te ubranka Pańskich sióstr, które zobaczył Pan w Treblince?

SW: Ciekawa rzecz – ja poznałem to paletko, bo były przez mamę charakterystycznie przedłużone rękawy. Tamara rosła, to mama jej doszywała takie pilśniowe zielone mankiety.

Pracowałem przy selekcji ubrań pozostałych po zamordowanych ludziach. To były całe stosy rzeczy, a ja akurat zobaczyłem ubranie siostry. Zrozumiałem, że już jej nie ma!

Dużo jest w Pana życiu takich „przypadków”?

SW: Dużo...

Pamięć tych wydarzeń i bliskich osób jest u Pana bardzo żywa.

SW: Tak, ja ciągle jestem z nimi. Namalowałem portret mojej matki [zmarła po wojnie w Izraelu] i powiesiłem w salonie. Weszła koleżanka i powiedziała: „Mama! Ten sam uśmiech”.

KW: On często mówi, kiedy odnosi jakieś sukcesy: „Szkoda, że mamy już nie ma”. Kiedy przyjeżdża balet rosyjski, on mówi: „Z mamą byśmy poszli”.

KW.: Ja bardzo kochałam rodziców, byłam jedynaczką, poświęcali mi dużo uwagi, ale ja nie mogę powiedzieć, że ich ciągle wspominam. Może dlatego, że byłam młodsza. Ja o nich myślę, ale nie tak jak Samuel, że nie ma dnia, żeby o nich nie myślał. Za rodzicami bardzo tęskniłam. Nawet jak zaczęłam spotykać się z chłopcami, to marzyłam, żeby mój mąż był dużo starszy ode mnie. Koniec końców to się nie sprawdziło (śmiech). Trafiłam na blondyna i absolutnie nie był typem ojca i nie ojcował mi.

Szukała Pani miłości?

KW: Szukałam miłości ojcowskiej, ale jej nie znalazłam. To raczej ja matkowałam.

SW: Moja mama całą miłość przelała na nią. Ja byłem synem i ją kochałem, ona mnie kochała, ale dbała, żeby Krystyna kupiła sobie nową suknię. Miała pretensje do Krysi, dlaczego nie dba o siebie.

Spotkała Pani kolejną miłość, w miejsce swojej mamy?

KW: Jednym z powodów, dla którego nie wahałam się wyjść za niego, był fakt, że miał matkę. Większość kolegów po wojnie chciała się od razu żenić. Chcieli to, co stracili, odzyskać. Jeśli się spotkali kilka razy, to on miał do razu poważne zamiary, nawet jak się bardzo nie kochali. Ja się nie spieszyłam z tym ślubem, ponieważ miałam ciepły dom i chciałam się uczyć. Przed wojną skończyłam cztery oddziały, a po wojnie robiło się po kilka klas w ciągu roku. Szybko zrobiłam maturę i dostałam się na Uniwersytet. Ciotka mówiła: „Krysiu, ty masz czas, najpierw nadrób to wszystko, co straciłaś”.

Kiedy wojna się skończyła, miałam 16 lat, a kiedy widziałam na ulicy dzieci bawiące się lalkami, to miałam ochotę wziąć taką lalkę i się nią bawić. To jest stracone dzieciństwo.

Pani się nie spieszyła, a tu nagle...?

KW: Z naszym poznaniem to było tak. Po wojnie Warszawa była całkiem zniszczona. Znaleźliśmy mieszkanie w Kaliszu, ale to było dla cioci za małe miasto. Chciała, żebyśmy się przeprowadzili do Warszawy albo do Łodzi – choć to nie było takie proste. To był 1946 rok, ja zamieszkałam u koleżanki mojej cioci, w małym mieszkaniu w Łodzi. W soboty jeździłam do cioci, która chwilowo zamieszkała w Ciechocinku. Wujek ze swoich podróży służbowych też tam przyjeżdżał. Za każdym razem ona suszyła mi głowę: „Krysiu, musisz szukać mieszkania!”.

Jak mnie się o coś prosi, to jestem dokładna [Samuel się z tego śmieje], więc każdego pytałam, czy nie słyszał o jakimś mieszkaniu. Któregoś dnia przyszedłam po tę koleżankę do pracy. Ona pracowała w Żydowskiej Organizacji Syjonistycznej. Siedział tam bardzo przystojny oficer w polskim mundurze. Zapytałam go, czy nie słyszał o jakimś mieszkaniu...

Ale bez zamiarów matrymonialnych Pani zapytała?

KW: Absolutnie, absolutnie, powiedział mi: „Owszem mam ładne dwa pokoje, ale jest jeden warunek – musisz wyjść za mnie za męża!”

Pan tak powiedział?

SW: Tak, ale to był żart.

KW: On mówi, że od tego czasu przestał żartować...

Czyżby żałował Pan tego żartu? [śmiech]

SW: Nie! Ale to w ogóle wtedy nie było aktualne.

KW: Koniec końców mój wujek znalazł mieszkanie w Łodzi. I czy to pech, czy szczęście chciało, że to było na tej samej ulicy Nawrat, przy której on mieszkał. Któregoś dnia ja wracam ze szkoły i na przystanku autobusowym spotykam tego faceta. Pytam, co słyhać, a on mówi, że jedzie do Palestyny. „Napisz z drogi”- ale on nie napisał. W tym czasie umarł jego ojciec i on wrócił do Polski. Znowu się spotkaliśmy. Wtedy chłopcy się nie uczyli. Ciocia powiedziała, że musimy się uczyć angielskiego i zawodu, bo jak kiedyś pojedziemy do Palestyny, to trzeba się będzie z czegoś utrzymać. Jak zdałam małą maturę, powiedziałam cioci, że skończyłam z nauką. Wszyscy się bawili wieczorami, a ja wkuwałam. Ciotka powiedziała, że mam zrobić pełną maturę. On mnie przekonywał, żebym się uczyła, więc ciocia się w nim zakochała, ja jeszcze nie [śmiech].

On był bardzo przystojny, ale nie był typem Żyda- to nie było to, czego ja szukałam. On był lekkomyślny, lubił pić, miał opinię kobieciarza. Uważałam, że nie będę miała przy nim takiego dobrego życia, ale umiał mnie podejść, przynosił prezenty.

Dlaczego się Pan tak starał?

SW: Bo coś do niej czułem.

KW: On nie miał doświadczenia z kobietami i bał się, że jak mnie pocałuje, to ja od niego ucieknę. Mnie to z kolei dziwiło, że chodzimy ze sobą kilka miesięcy, a on mnie nie pocałował. Zwierzyłam się cioci, a ona mnie prosi: ty na ten temat nie rozmawiaj, bo dla mnie jesteś jeszcze dzieckiem. Wreszcie, któregoś dnia, szliśmy ulicą koło fabryki octu, bardzo kwaśno tam śmierdziało, zdecydował się na pocałunek. Pomyślałam, że będę miała kwaśne życie. Ale nie było kwaśne, nie! On się ustatkował.

Jeśli chodzi o poprzedni temat pamięci, to ja mam pamięć selektywną. Pamiętam raczej dobre chwile. Przeżyłam wprawdzie wiele momentów strasznych, straciłam rodziców. Tata zginął na wschodzie. Z mamą pracowałyśmy w warszawskim gettcie w fabryce. Pewnego dnia na apelu Niemcy zaczęli selekcję. Nie było wiadomo po co. W pewnym momencie mama zamieniła się ze mną na miejsca. I została zabrana na śmierć!

Ja dzięki staraniu rodziny zostałam wyprowadzona z getta. Trafiłam do Państwa Majewskich na Woli. Było mi dobrze u nich. Myśmy się pokochali.

Potem rodzina, z którą byłam w przymusowej pracy w Niemczech, chciała mnie adoptować.

Tego samego dnia i miesiąca [18.08.1944 - przyp. M.G.], w którym dwa lata wcześniej moja mama zginęła w getcie, spotkałam ich w czasie powstania warszawskiego idąc z grupą ludzi, prowadzoną przez Niemców w kierunku dworca. Myślałam, że idę do obozu zagłady i strasznie płakałam. Obok mnie szedł polski policjant z żoną - ich też złapano. Zapytał mnie: „Co ty tak płaczesz?”. Zmyśliłam jakąś historię. On powiedział, żebym wyrzuciła dokumenty i jak przyjedziemy do Niemiec, to powiemy, że jestem ich córką. Przyjechaliśmy do Drezna. Tam brano ludzi do fabryki amunicji, a on powiedział, że jesteśmy rolnikami i wysłali nas na farmę pod Dreznem. Dzięki temu uratowaliśmy się, bo tę fabrykę amunicji później zbombardowano.

Po wojnie ci ludzie, chcieli mnie adoptować, ale ja nie chciałam. Oni do końca nie domyślali się, że jestem Żydówką. Dopiero sama im to wyznałam, kiedy wróciliśmy do Warszawy.

To kolejny szczęśliwy traf w Pani życiu?

KW: Dla mnie szczęśliwy. A tego dnia, w czterdziestym drugim roku, kiedy Niemcy nas ustawili i mama się ze mną zamieniła - dla mnie był szczęśliwy, dla niej nie. To, że zamieniła się ze mną miejscem, to tak, jakby miała przeczucie, że mnie ocali. Ona poszła, a ja zostałam. Ona naprawdę miała niezwykle przeczucia. Kiedy byliśmy przed wojną w Paryżu, śniło jej się, że Warszawa się pali i chce uciec, ale nie może. Za nic nie chciała wrócić do Warszawy.

Jak Pani to widzi po latach te wszystkie zdarzenia? Czy to się układa w ciąg jakiegoś prowadzenia z góry?

KW: Mój mąż jest bardzo niewierzący, ja nie jestem niewierząca. Wierzę, że jest coś, co wszystkim kieruje, ale co jest tym czymś? Jeszcze jestem za mała, żeby to ustalić.

Kobiety chyba są wrażliwsze i bardziej podatne na mistykę, tak jak na sztukę?

KW: Możliwe, że tak. Widzę to po mojej córce. Mówi, że w świecie nic nie ginie, że materia tylko się zmienia.

SW: Jestem temu przeciwny. Dla mnie On nie istnieje! Złoszczę się: Gdzie On był?! Jego tam [w obozie w Treblince - przyp. M.G.] nie było. Ja byłem gorszym dzieckiem dla moich rodziców, niż moje dwie siostry, a to one poszły na śmierć. Dlaczego ja zostałem przy życiu? Co On zrobił?! W co wierzyć?! Boga nie ma!

KW: Myślę, że on nie powinien tak się gniewać na tego Boga. Dobrze mu się życie ułożyło po wojnie.

SW: Z tego piekła, z Trebłinki uciekło może 200 osób, po wojnie zostało tylko 67. Uciekaliśmy razem, grupą. Przygotowywaliśmy się do tej ucieczki. Koledzy więźniowie, którzy budowali magazyny broni, dorobili klucze i dlatego mogliśmy zdobyć broń. Drugiego sierpnia 1943 roku nastąpiła ucieczka. Zaczęła się strzelanina, było wielu zabitych i rannych. Ja sam zostałem ranny w łydkę. Biegliśmy jak najdalej przez pola przez las. Kiedy wszyscy [uciekiniery] wpadli do wsi, jedni poszli na prawo, drudzy na lewo, a ja przeszedłem prosto. Potem zrozumiałem, że to było słuszne, bo Niemcy pytali chłopów: „Gdzie Żydy?”. „A tu poleciełi!”.

Jak ja jeden przeszedłem, to mogli nie zauważyć.

Myślę o tym, że byłem niedobrym synem. Uciekałem z domu rodziców, ale byłem przez to bardziej samodzielny, jak na swój wiek.

Uciekał Pan z domu, bo buntował się Pan przeciwko czemuś?

SW: Buntowałem się przeciwko mojemu życiu, ciężkiemu życiu, w domu.

W rodzinie?

SW: Tak.

KW: Nie, rodzina była dobra, kochająca się, ale sytuacja materialna była ciężka. On był chłopcem, który lubił podróżować, chciał mieć łyżwy, ale oni sobie na to nie mogli pozwolić, bo artysta malarz przed wojną był biedny

SW: Żeby zarobić tata jeszcze przed wojną wyjechał z Częstochowy do Warszawy, bo było bardzo źle. I ja chciałem być w Warszawie. Jeździłem ekspresami na dachu z moim kolegą Stępnem. Zwiedziłem całą Polskę

KW: Dlatego łatwiej mu było, jak uciekał z Trebłinki. Nie był też z wyglądu i zachowania typem Żyda. Żydzi przed wojną na ogół żyli w gettach, sami takie tworzyli, bo lubili mieszkać między innymi Żydami i przez to jeszcze bardziej odróżniali się od innych Polaków. Samuel z rodziną

mieszkał w Częstochowie w takim miejscu, gdzie dzieci polskie i żydowskie na podwórku bawiły się razem.

Ja na przykład nie miałam żadnego kontaktu. Ojciec miał kontakty handlowe z Polakami. Oni nam potem pomogli, w czasie okupacji. Nasi byli klienci zorganizowali w czasie wojny te miejsca po aryjskiej stronie, w których ukrywały się osoby z naszej rodziny.

SW: A mnie po ucieczce z obozu nikt niczego nie organizował. Musiałem ukrywać się w lesie. Niejeden człowiek sam w lesie by się załamał. Ja się nie załamałem, szedłem dalej. Chciałem dostać się do Warszawy.

KW: Miał cel...

SW: Miałem w Warszawie matkę i ojca na aryjskiej stronie. To mi dawało siłę, żeby przetrwać, no i kierunek. Po czterech dniach byłem już w Rembertowie.

KW: Inni też uciekali, ale nie mieli dokąd. Wiedział, że będzie ciężko, nietatwo było rodzinę odnaleźć, ale jednak miał tę przewagę, bo wiedział, że do kogoś idzie, tamci tego nie mieli, a jednak zrobili powstanie w Treblince, którego głównym celem było zniszczenie obozu. Chociaż powstańcy wiedzieli, że mogą być zabici albo przez Niemców, albo przez okolicznych Polaków, którzy myśleli, że Żydzi uciekają ze złotem, które było z Treblince. Bo Żydzi mieli dostęp do tych wszystkich skarbów, oni to wszystko segregowali, później oddawali Niemcom.

SW: To mi dało bodziec, siłę... co jeszcze? Nie bałem się rozmawiać z chłopem w tej wsi, przez którą przechodziłem po ucieczce, bo rozmawiałem jego językiem i on miał szacunek. Pan widział film Michała Nekandy -Trepki o mnie. [*Ostatni świadek*, TVP 2002]. Pojechaliśmy do tej wsi z kamerą. To nie jest zainscenizowane, to fakt! Trafiłem tam po 50 latach, w to samo miejsce. Ten człowiek po tylu latach pamiętał mnie i powiedział: „Ja panu przyniosłem na łyżeczce kilka kropel jodyny, bo pan był ranny”.

SW: A rano przyniósł mi dwa papierosy! A to był przecież wielki rarytas!

Myszę, że wiele osób było stawianych przez Opatrzność na Pana drodze.

SW: Niech pan nie będzie naiwny. Jeśli pan tak myśli, to pan jest szczęśliwy.

Później doszedłem do innej wsi, jak ona się nazywała? Skolimów! Wchodzę tam, stoją chłopci, pytam: „Mogę dostać trochę wody?”. Co miałem zrobić, wziąć sto dolarów i płacić? Kobieta tak patrzy na mnie i mówi: Niemcy tu byli. Chcieli zabić mojego męża, bo miał lekko ranną głowę. Wszyscy wiedzieli naokoło, że bunt był w Treblince. Pytam: tu jest pociąg, stacja, ile kosztuje bilet? Pięć złotych. Dała mi 20!

Kiedy dotarłem do Warszawy udało mi się ustalić adres mojego ojca. Jak już mówiliśmy ojciec nie wyglądał na Żyda i zajmował się malowaniem obrazów religijnych. Postanowiłem zwiększyć liczbę klientów i pojechałem na Krakowskie Przedmieście do sklepu z artystycznymi wyrobami. Spotkałem tam dwie panie, które szukały kogoś, kto mógłby namalować obraz Chrystusa Miłosiernego. Pojechaliśmy na Ochotę do mieszkania ojca, żeby omówić szczegóły.

Czy to nie jest niezwykle, że Żydowski artysta malarz, malując Żyda - Chrystusa, którego kilka miliardów ludzi na świecie uznaje za Boga, oraz malując obrazy Jego Matki - również Żydówki, przetrwał wojnę bezpiecznie i dostatnio?!

SW:Nie, nie, nie. On przetrwał wojnę, bo malował i to był produkt, który się sprzedawał. Na przykład te Panie z Siedlec, bardzo szczegółowo formułowały swoje wymagania co do wyglądu obrazu. Przysłały list, w którym prosiły, żeby Chrystus na tym obrazie nie miał czarnych włosów, tylko blond

Ale czy to nie jest paradoks?

SW: To jest niezwykle, bez dyskusji. To, że dom na Marszałkowskiej ocalał, też. On malował ze względów handlowych, ale pierwszym względem było odrzucenie żydostwa, nikt nie pomyśli, że Żyd maluje Matkę Boską.

KW: A wie pan, że on mu pozował jako Jezus? Miał wtedy małą bródkę.

Czy do obrazu Chrystusa Miłosiernego też Pan pozował? Do tego z Siedlec?

SW: Tak... tak. [śmiech]

To niezwykle! Nawet, gdybym był niewierzący, po rozmowie z Panem, byłbym przekonany, że jesteśmy prowadzeni.

SW: [śmiech]

KW: Mówię do niego, że nie wpadł, jeśli chodzi o małżeństwo, udało mu się ze mną.

SW: To szczęście, że wziąłem ją za żonę.

Tak to wygląda, jak się patrzy na Państwa z zewnątrz, ale czy to była ta jedna jedyna? Nigdy nie miał Pan wątpliwości, że to za szybko?

SW: Nie, to nie była jedna jedyna, było ich dużo. Może patrzyłem na jakąś kobietę z punktu widzenia seksu, ale nie emocjonalnie. To było moje największe szczęście!

Jak Pan to ocenia? Skąd ta Krysia stanęła na Pana drodze?

SW: Przypadek!

KW: Jak mi zaproponował to małżeństwo po raz pierwszy, to mnie nawet dobrze nie widział. Nosiał taki duży czarny beret, który mi zakrywał pół twarzy, a mała byłem i szczupła. I miałam na sobie jakieś palto przerobione ze starej jesionki, bo po wojnie nie było możliwości, żeby się dobrze ubrać. Nie wyobrażam sobie, że on się we mnie mógł zakochać.

SW: [śmiech] Wtedy, kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, to po prostu zażartowałem. Nawet śmialiśmy się potem z kolegami. Ale to jest przypadek.

KW: On zażartował, że mam za niego wyjść za mąż.

SW: Po tylu latach małżeństwa mogę powiedzieć, że mam wspaniałego człowieka obok siebie. Mam matkę naszej córki! To jest bardzo ważne - mieć żonę-przyjaciela.

KW: Powracając do jego mamy - bałam się, że przez nią nie będę czuła się w tym związku szczęśliwa. Nasza sytuacja była specjalna - jego mama straciła dwie córki, a ja straciłam rodziców. Na początku się docierałyśmy. Po ślubie nie od razu była idylla. Początkowo mówiła do mnie: „...niech Krysia”, dostawałam wtedy gęziej skórki, u nas tak mówiło się do służącej. Ona była Rosjanką, nie знаła dobrze polskiego, uważała, że się obrażę, jeśli powie mi po imieniu, więc na początku mówiła: Niech Krysia usiądzie.

[śmiech]

To trwało około roku. Ale później bardzo się pokochałyśmy, zastąpiła mi moją mamę, a ja jej zastępowałam córkę. A jak się urodziła wnuczka... Mama była depresyjna, dopóki Orit się nie urodziła.

Jak się urodziła nasza córka, nie wiedzieliśmy, czy będziemy mieli więcej dzieci, uważaliśmy, że raczej nie. Miałam wtedy 31 lat i to się nazywało, że „starsza kobieta” urodziła pierwsze dziecko... Teraz to nawet nie myślą w tym wieku o małżeństwie. Chcieliśmy w tym jednym imieniu umieścić wszystkie imiona naszych najbliższych, którzy już nie żyli. To był problem. Jego jedna siostra miała na imię Tamara, druga Ita, a moja mama- Rachel. Mieliśmy „rit”. Dodaliśmy „o”, wyszła Orit. Po

hebrajsku znaczy to „światłana”. Dziecko było światłem, które naprawdę weszło do naszego życia, a szczególnie do życia jego mamy. Chcieliśmy mieć dzieci, ale byliśmy młodzi, mieliśmy towarzystwo, a jego mama nie chciała z nami nigdzie chodzić. Siedziała w domu, jak przychodzili goście- wychodziła do drugiego pokoju. Myliła się, często nazywała Orit imieniem swojej córki. Naprawdę nasza córka wniosła jej dużo światła.

My pracowaliśmy. To mama wychowywała Orit do 12. roku życia. Mama chodziła z nią na spacer. Dzieci podchodziły do wózka: „jakie piękne dziecko, jakie piękne oczy...!” Orit miała piękne, niebieskie oczy, na pół twarzy. Coś niebywałego. Była wyjątkowo piękna.

SW: Wyjątkowo piękna. Jakie to było szczęście!

Wszyscy ci bliscy „zawarli” się w tym imieniu.

KW: Zaczynam myśleć, że ci wszyscy bliscy przychodzą tu i nam pomagają. Jemu jest tak dobrze, lubi wojować ze wszystkimi, to z Bogiem też. Jak się wyładowuje na Bogu, to się nie wyładowuje na mnie [śmiech].

Przychodzą trudne chwile...

KW: Bardzo się kłócimy, mamy zupełnie inne charaktery, ale nigdy się nie gniewamy. Nigdy nie słyszałam, żeby moi rodzice się kłócili, ale widziałam, że były okresy, gdy ze sobą nie rozmawiali...

SW: U nas tego nie było. My się kłócimy, ale nie gniewamy się na siebie. Najwyżej przez kilka godzin.

KW: Nawet nie godzinkę.

Chyba najważniejsze jest to, co Pan tak pięknie powiedział: „Mam człowieka w życiu”. Po tak strasznie trudnych doświadczeniach może Pan powiedzieć, że to jest najważniejsze?

SW: Tak.

KW: Czasem myślimy, że jesteśmy dość leciwi i siłą rzeczy- na ogół się we dwójkę, razem, nie umiera. Rozmawiamy o różnych rzeczach, różnych ewentualnościach. Nigdy nic nie wiadomo. Czasem młodszy umierają przed starszymi. Jak mnie nie będzie, uważam, że mąż nie powinien być sam w domu, tylko pójść do domu dla starszych ludzi. Nie powinien też mieszkać u córki, bo on jest wrażliwy, zobaczy, że ktoś się tam skrzywi... a starszy człowiek w pewnym momencie i pieluchę musi mieć, czy jakieś inne rzeczy... Jak ty umrzesz, to ja od razu popełniam samobójstwo.

SW: A po cholere?!

KW: Jestem za dużym tchórzem...

SW: ... a ja nie!

Można kochać i czekać na to powtórne spotkanie potem też się spotkać, nie trzeba popełniać samobójstwa.

KW: Dobrze w to wierzyć.

To, co Państwo mówią jest niezwykle, to wielkie świadectwo miłości. Nie wyobrażacie sobie tego, żeby być długo bez siebie.

SW: Nie. Jeśli o mnie chodzi- nie.

Rozstawaliście się kiedyś na dłużej?

KW: Na kilka tygodni. On był w Polsce w latach pięćdziesiątych, a ja kiedyś w Europie Zachodniej przez sześć tygodni.

SW: Kiedy Krysia wróciła przyniosłem jej piękne „kwiaty”

KW: Przepraszam, ja ci przerwę. Tu trzeba dopowiedzieć. Jak przyjechaliśmy do Izraela, mój mąż przywiózł z Polski literaturę o tym, jak hodować barany, jak zasadzić pietruszkę...

SW: Zawodu specjalnie nie miałem, uniwersytetu nie skończyłem.

KW: On twierdzi, że całe życie... to znaczy, po wojnie, wieś była dla niego oazą...

SW: Ostoją spokoju! Jak uciekłem z Trebłinki i łąziłem po wsiach, nie wchodziłem do domów, pozostawałem na zewnątrz. Dla mnie wieś, własny dom z ogródkiem... to było moje marzenie.

KW: On rzeczywiście marzył o tym.

SW: Pewnego dnia, gdy już od jakiegoś czasu mieszkaliśmy w Izraelu, kolega architekt, z którym pracowałem powiedział mi: „Popatrz ten teren będzie teraz przeznaczony na hotele.” Kierownik tego wydziału ziemnego, do którego należał ten teren, mówi: „Nie mam komu sprzedać.” To ja od razu mówię: „Moja mama chce kupić! Chce tam pensjonat zrobić.” Ta fantazja - od razu to wymyśliłem. Tylko trzeba było dać tysiąc funtów, to było dużo forsy.

KW: A myśmy nie mieli pieniędzy.

SW: Na drugi dzień pożyczyłem tysiąc funtów i wpłaciłem. Dostałem potwierdzenie i za rok miałem zacząć spłatę.

KW: Każda rata to była moja pensja miesięczna. Robiłam mu wtedy awantury nie z tej ziemi, bo uważałam, że to jest kolosalny wydatek. Przypadkowo się udał. Po kilku latach ta ziemia była dużo warta. W pewnym momencie Samuel ją sprzedał, dostał dużą sumę i za te pieniądze mogliśmy kupić ładne mieszkanie w Tel Awiwie. Tak było postanowione: mama i ja chciałyśmy mieszkać w Tel Awiwie. On również za te pieniądze kupił gospodarstwo na wsi. Okazało się, że to była bardzo dobra inwestycja.

I znowu dobry „przypadek” w życiu pana Samuela.

KW: Właśnie. I to, że kiedyś w ogóle nie myśleliśmy o tym, że będziemy mieszkać na wsi. To, że on studiował tę agronomię, to było komiczne. Przychodzili koledzy, śmiali się z niego: co ty myślisz, jak hodować pietruszkę?

A co z tymi kwiatami?

SW: Chciałem pokazać się na wsi, że nie jestem tylko urzędnikiem państwowym przy pomiarach ziemi, że jestem też rolnikiem. Zasadziłem sałatę, buraki i kalarepę.

KW: Ja akurat straciłam posadę w firmie, która robiła tłumaczenia i napisy do zagranicznych filmów. Wtedy na pocieszenia zrealizowałam marzenie moje i koleżanki. Pojechaliśmy z koleżanką do Paryża, za ostatnie grosze, bo dostałam odprawę z pracy. Po powrocie, wysiadam z okrętu i widzę, że on mnie oczekuje z takim olbrzymim bukietem. Wiedziałam, że nam się nie przelewa, więc mówię do mojej przyjaciółki: ten kretyń...!

SW: [śmiech]

KW: ... pieniędzy nie ma i tyle wydał na kwiaty?! Co się okazało? Że on mi przyniósł plony! To była kalarepa, sałata, bukiet z warzyw naszej ziemi! [śmiech] Chciał mi pokazać, te piękne plony.

Często Pani dostawała niezwykle prezenty?

SW: Bardzo był szalony, sprzedawał portki, kupował mi piękne naszyjniki... Jeden dałam wnuczę, gdy skończyła 18 lat. A drugi córce, jak skończyła 50. To były naprawdę piękne rzeczy.

Czy takie prezenty, to jest sposób na podtrzymywanie lub budowanie miłości?

SW: Nigdy człowiek nie myśli, że to robi, bo to jest „sposób”. I nigdy człowiek nie myślał „odbudować”.

KW: Ja nie jestem przekonana.

Takie gesty są z potrzeby serca?

SW: Tak..., bo się kocha. Nawet takie drobne, praktyczne gesty. Na przykład tu w hotelu. Zobaczyłem, że coś leży pod nogami, myślę sobie: „Może Krysia pójdzie do ubikacji w nocy i się przewróci?” Wrzuciłem to pod łóżko.

KW: To jest normalne. On któregoś wieczoru mierzy temperaturę, ma 37,5 ...

SW: Sześć!

KW: Później jeszcze raz zmierzył, znów 37,6. To nie jest taka wysoka temperatura, ale ja już całą noc nie spałam... Nie wiem, czy to jest miłość?

SW: [śpiewa] „Ja chcę z tobą tańczyć, ja chcę z tobą być. Ale jeszcze nie wiem, czy to miłość.”
[śmiech] No, to po 62 latach doszła do tego, że się nie wie!

Nie wie, ale kocha!

KW: Tak.

SW: Dbamy jeden o drugiego. Bardzo dbamy. Fizycznie dbamy, dosłownie.

KW: To może też jest trochę egoistyczne. Nie wiem. Jak się dobrze nad tym zastanowić, to człowiek dba bardzo o drugą osobę, bo bardzo mu zależy na tym, żeby ta druga osoba była. Jestem realistką.

Dlaczego myśli Pani, że to jest egoizm?

KW: Dlatego, że ja chcę go mieć dla siebie.

SW: Nie, według mnie tu nie ma egoizmu. To jest nonsens. Nie Kocham cię tylko dlatego, żebyś była przy mnie? Chcę żebyś była przy mnie, ponieważ cię Kocham!

KW: Ty chcesz mnie dla siebie jak najdłużej. Bo tobie jest ze mną dobrze, a mnie jest z tobą dobrze.

SW: Razem jesteśmy, razem cierpimy.
[śmiech]

KW: Chcemy cierpieć razem

SW: Ale zawsze z humorem, mimo tragicznych przeżyć. Tak, jak ta jedna pani, jak ona się

nazywała, ta blondynka...?

KW: Ta w kawiarni? Ola.

SW: Podeszła do mnie i pyta: „Jak ty po takiej tragedii możesz mieć taki dobry humor?” Ja jestem szczęśliwy z życia.

KW: Kiedy jeździmy z młodzieżą, dostajemy później od nich listy - piszą o swoich wrażeniach z podróży i prawie w co drugim, co trzecim liście, powtarza się to samo zdanie: „Trudno nam jest zrozumieć, że po tym wszystkim, co przeżyliście, jest u was jeszcze tyle radości życia.” Ale to nie jest słuszne. To właśnie dlatego, że przeżyliśmy tyle, potrafimy cieszyć się każdą chwilą.

Państwa życie jest świadectwem nie tylko przetrwania, ale także tej niezwyklej miłości. Czy inni to zauważają?

KW: Nie wiem, czy nasza miłość jest wykładnią. Wyobrażam sobie, że na świecie jest w ludziach dużo miłości.

SW: Wszyscy nasi znajomi nie są już parami. My jesteśmy razem, a Krystyna stanowi centrum różnych naszych działań.

KW: Oni mnie nazywają „kulturtraeger” - „przynosząca kulturę”. Zawsze organizuję bilety do teatru, do kina, wyjścia do restauracji.

SW: My robimy na przykład obiady w sobotę. Wychodzimy całą paczką... Teraz w „paczce” jest nas pięć osób. Niekiedy siedem.

KW: Kiedyś było 70.

SW: U nas salon miał 55 i był pełen!

Co to byli za ludzie, przecież nie tylko rodzina?

SW: Nie, rodziny nie mamy. Wielu przyjaciół mamy od czasu przyjazdu do Izraela po wojnie.

KW: Część nawet jeszcze z Łodzi, z 1948 roku.

SW: Ona tam studiowała.

KW: Teraz jedna osoba została z tych, którzy studiowali ze mną w Łodzi. Dzisiaj nawet dzwoniła. Ciągłe dzwonią do nas, dowiedzieć się, co słyhać. Żydzi po wojnie na ogół nie mieli rodzin. Koledzy stawali się rodzinami. Naszą mamę nazywali mama Iga, i to ona była mamą całego towarzystwa. Dzieci naszych koleżanek i kolegów nie miały dziadków, to jego mama była dla nich tak, jakby babcią. Była właściwie jedyną starszą osobą w naszym towarzystwie.

Czyli inni ludzie są nam po prostu niezbędni do życia?

KW: Raczej tak, ale nie tylko u ludzi tak jest. Są u nas żurawie. Dopiero kilka lat temu dowiedzieliśmy się, że u nas jest miejsce, gdzie żurawie się zaaklimatyzowały i siedzą tam, nad stawem. Część przelatuje...

SW: ... w Polsce jest mało żurawi. One przelatuja przez Polskę... leca żurawie. Przelatują z Finlandii przez Polskę, zatrzymują się u nas...

KW: ... niektóre na stałe...

SW: tam, gdzie były błota, dzisiaj ich nie ma, zagospodarowane są przez stawy rybne.

[...] ale do czego Pani zmierzała z żurawiami?

KW: Właśnie, właśnie! Pojechaliśmy na wycieczkę i poszliśmy w to miejsce, gdzie one się zatrzymują, i przewodnik nam opowiadał, że żurawie żyją parami i mają dziecko, widać to, gdy spacerują- parka z młodszym. Jak któreś z nich umrze, to ten drugi, czy to jest samiec, czy samica, zostaje całe życie sam. Nie zwiąże się z kimś innym. Dzisiaj Joanna mi opowiadała, że bociany tak samo. Też są bardzo wierne sobie, nie wiem, jak inne ptaki. Tak że to nie tylko ludzie.

SW: Bociany w ogóle są podobne. Żuraw ma trzy metry między otwartymi skrzydłami...

KW: ... to jest ta sama rodzina.

SW: ... trzy metry... żurawie są ogromne!

KW: ... jak przyjedzie Pan kiedyś do Izraela- warto zobaczyć, coś pięknego. Jeśli chodzi o Izrael to u nas jest takie rozdwojenie jaźni. Jak jesteśmy tam- chcielibyśmy być tu, jak jesteśmy tu, to chcielibyśmy być z powrotem w domu.

Mam do Państwa ostatnie pytanie: czym jest ta miłość? Jest motorem życia?

SW: W jakim celu żyje człowiek bez miłości do kogoś?
[cisza]

Skąd jest taka siła?

SW: Nie wiem. Coś musi być... [cisza]. Ale to jest też zwierzęcy instynkt. Proszę zobaczyć, u zwierząt jest podobnie, ale coś takiego istnieje!

KW: Są też różne miłości. Ja na przykład miałam psy- jak strasznie je kochałam... Były dla mnie jak dzieci. Teraz moja córka ma psa- to on jest głównym członkiem rodziny. Są miłości do zwierząt, do ludzi...

SW: ... i zwierzę też to pokazuje! Jak się nie widzą dłuższy czas, to ten pies jakby płakał! To jest takie wzruszające... i obopólne.

KW: ... nie mówię już o miłości do dzieci... miłość do dzieci jest chyba największa.

To jest motor całego życia i żadne straszne przejścia, zdarzenia, nie mogą tego uczucia zabić?

KW: Tak.

SW: ... jest jeszcze większe.

KW: Po tych wszystkich przejściach człowiek jest bardziej rodzinny.

Nie czuje nienawiści?

KW: Nie.

SW: Wie Pan, jak coś gubię, to znajduję, tak jakbym nie zgubił.

KW: Czego?

SW: MIŁOŚCI!